

MARCIN KĘPIŃSKI  
Uniwersytet Łódzki

## ANTROPOLOGIA NIE JEST PO TO, BY POPRAWIAĆ SAMOPOCZUCIE CZY NAPRAWIAĆ ŚWIAT

Jak pisać o nauce, dyskursie publicznym i organizacji biurokratycznej? Najlepiej tak, jak czyni to Marcin Brocki w książce *Antropologia społeczna i kulturowa w przestrzeni publicznej*<sup>1</sup>. Struktura tekstu jest dość spójna, a podział na trzy segmenty klarowny. Wolę jednak czytać tę książkę nieco inaczej, łącząc rozważania zawarte w pierwszej części, dotyczące między innymi możliwości i ograniczeń praktycznego stosowania wiedzy naukowej (w tym antropologicznej), z ostatnimi rozdziałami, w których autor powraca do projektu antropologii publicznej. Lekturę omówienia zaproponowanych przykładów udziału antropologów w debacie publicznej proponuję czytelnikowi pozostawić na koniec. Fragment debaty dotyczącej pamięci PRL-u (wykorzystane badania własne autora) zainteresuje wszystkich, którym bliska jest problematyka pamięci jako wciąż znaczącej kategorii w naukach społecznych, jak i przeszłości Polski, natomiast druga z ilustracji antropologicznej *praxis* (Rok Miłosa i pogrzeb poety) będzie propozycją ciekawą dla tych, którzy zajmują się dyskursem publicznym.

Uważam, że Marcin Brocki wykazuje się cenną umiejętnością pisania o sprawach ważnych dla antropologów, i w ogóle dla humanistów, językiem zrozumiałym dla wszystkich, pozbawionym zbędnych ozdobników naukowego metajęzyka. Co więcej, spoglądając z pewne-

go dystansu na stan polskiej humanistyki, autor znakomicie potrafi posługiwać się humorem, choć niewątpliwie jest to humor w gatunku *noir* i groteski.

Ileokroć sięgam po książkę i czytam jej część dotyczącą instytucjonalnej infrastruktury sfery nauki (coraz ważniejsza, tylko patrzeć jak przyćmi samą naukę swym wątpliwym blaskiem), przychodzi mi do głowy opowieść Wodza z *Lotu nad kukulczym gniazdem* o Kombinacie. Dzięki odrobinie sprytu półkrwi Indianin udawał głuchoniemego, unikając w ten sposób groźnego zainteresowania ludzi Kombinatu. Czym jest ten groźny twór? Bywa on instytucją totalną, niczym szpital psychiatryczny, w którym znajduje się Wódz, czasami jest skomplikowaną maszyną z podpiętymi do niej ludzkimi manekinami. Niekiedy przybiera postać Wielkiej Odziałowej, siostry Ratchet, bezlitośnie sprawnej i w mgnieniu oka oceniającej wymagające interwencyjnej naprawy mankamenty podwładnych, których możemy nazwać interesariuszami (słowo znane z instytucjonalno-naukowego kontekstu!). Nie oszukają uosobienia systemu, muszą pokornie poddać się jego regułom. No właśnie — dlaczego muszą podlegać ocenie, przez kogo są oceniani i na jakich zasadach? Każdy, kto zna losy obywatela Piszczyka, pamięta słynne motto biurokraty — mistrza sprawozdawczości: „Teraz to nie my drżeliśmy przed terenem, to teren drżał przed nami”.

Środowisko akademickie, którego jestem częścią, podobnie jak autor *Antropologii społecznej i kulturowej...*, to właśnie „teren” drżący przed biurokratyczną sprawozdawczością. Pozostając w kontekstach antropologicznych, humaniści są naszym Indianie z plemienia Wodza

---

Adres do korespondencji: marcin.kepinski@uni.lodz.pl

<sup>1</sup> Marcin Brocki, *Antropologia społeczna i kulturowa w przestrzeni publicznej. Problemy, dylematy, kontrowersje*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2013, stron. 198.

Bromdena. Namawiani przez waszyngtońskich urzędników do sprzedania swojej wolności, ziemi i plemiennej tożsamości za garść dolarów, skazani są na przegraną w sporze z instytucją rządową. Na rzece, w której Indianie od pokoleń łowili łososie, rząd koniecznie chce wybudować tamę. Dialog urzędników (czy to ministerialnych, czy uniwersyteckich) z humanistami odbywa się na podobnych zasadach niemożności porozumienia:

„— Dzikie gęsi — rzekł tata, zezując do góry. Przedstawiciele rządu zaszeleścili papierami i podnieśli głowy.

— Co...? W lipcu? Ta pora roku bez gęsi. W lipcu gęsi brak. Mówili jak turyści ze wschodniego wybrzeża, przekonani, że właśnie w ten sposób należy rozmawiać z Indianami, jeśli się chce, by zrozumieli. Tata nie zważał na to, jak mówią. Wciąż patrzył w niebo.

— Gęsi na niebie, biały człowieku. Wiesz dobrze. Tego roku. Ubiegłego roku. I rok wcześniej, i jeszcze rok wcześniej. Przedstawiciele rządu spojrzeli po sobie chrząkając.

— Tak. Może prawda, Wodzu Bromden. Ale teraz gęsi nieważne. Ważny kontrakt. Kontrakt da wielkie korzyści wam i waszemu plemieniu. Kontrakt zmieni życie czerwonoskórego człowieka”<sup>2</sup>.

Ważne są sprawy i rzeczy wymierne, policzalne, przynoszące korzyści. Nie liczy się to, co metafizyczne i pozostające poza obrębem materialności. Praktyczna strona humanistyki, zmierzającej w kierunku wytyczonym przez technikę, jest mile widziana przez biurokratów, a w dyskursie publicznym o nauce prawdę jako wartość zastępuje praktyczna użyteczność. Brocki pisze o tym zjawisku: „Ta idea, którą jest przesiąknięte myślenie o nauce w naszym kraju i która jest obserwowana i dyskutowana znacznie szerzej, znajduje dziś niewiarygodnie silne wsparcie w instytucjach życia społecznego odpowiedzialnych za administracyjną stronę badań naukowych” (s. 8). Ale czymże jest wiedza „praktyczna”? W instytucjonalnych odpowiedziach biurokratycznego środowiska na to pytanie po-

brzmiewają pseudoscjentystyczne tłumaczenia o nauce rozumianej jako jedyny sposób racjonalnego wyjaśniania i kształtowania otaczającej nas rzeczywistości, w której wartością nadrzędną jest jej pożyteczny i praktyczny wymiar.

Przed takim rozumieniem nauki postrzegali Hannah Arendt i Theodor W. Adorno, widzący w racjonalizmie jedną z przyczyn najbardziej tragicznych wydarzeń XX wieku, wojen i Holocaustu.

W książce Marcina Brockiego znajdziemy sporo rozważań nad rolą i miejscem uniwersytetu w życiu społecznym i kulturowym, powiązanych z rozważaniami dotyczącymi nauki.

Uniwersytet, postrzegany jako organizacja wpływająca na środowisko społeczne, w którym istnieje, ale także od tego środowiska zależny, trwa w sieci skomplikowanych powiązań komunikacyjnych, instytucjonalnych i organizacyjnych. Funkcjonuje na różnych poziomach struktury społecznej, między publicznością zewnętrzną i wewnętrzną, zarządzającą i zarządzaną, społecznością lokalną i instytucjami rządowymi, przedstawicielami władz różnego szczebla i podmiotami gospodarczymi miasta, regionu, kraju. Ewa Hope tak widzi szkoły wyższe:

„Uczelnie to bardzo specyficzne instytucje użyteczności publicznej — zaliczają się do instytucji świadczących usługi, lecz jedynie niektóre z tych usług są płatne bezpośrednio przez odbiorców. Pozostałe usługi również są płatne, ale koszty ich otrzymania są pokrywane z budżetu państwa, czyli finansowane przez wszystkich członków społeczeństwa. [...] Podstawowe usługi, jakie świadczy uczelnia to:

- 1) edukacja,
- 2) badania naukowe,
- 3) badania i praca na rzecz gospodarki i regionu”.

Otoczenie zewnętrzne uczelni, o którym pisze Brocki, nazywając je podstawowym kontekstem rozwoju nauki, „to zatem infrastruktura prawna, a także społeczny wizerunek akademii i wiedzy naukowej, zresztą pośrednio skorelowany z owym pierwszym kontekstem”<sup>3</sup>.

<sup>2</sup>Ken Kesey, *Lot nad kukulczym gniazdem*, tłum. Tomasz Mirkowicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1999, s. 90.

<sup>3</sup>Ewa Hope, *Public relations uczelni, czyli szewc bez butów chodzi*, w: Ewa Hope (red.), *Public rela-*

Ani antropologia, ani żadna inna dziedzina humanistyki nie rozwijają się i nie funkcjonują w próżni bez infrastruktury. Ktoś przecież musi zarządzać funduszami, ich przyznawaniem, ocenianiem naukowych postępów i efektów ich wykorzystywania. Widzimy, że autor skupia się na instytucjonalnym wymiarze funkcjonowania uniwersytetu, a raczej na opisie jego wad.

Nie każdy korzysta z oferty uczelni w równym stopniu, a dotyczy to zwłaszcza sfery edukacji. Dwie pozostałe usługi są świadczone na rzecz całego społeczeństwa, o czym nie zawsze się pamięta. Wszystkie rodzaje funkcji pełnionych przez uczelnie mieszczą się w zakresie „działań statutowych” (kolejny termin języka biurokracji), a większość badań naukowych wciąż jest prowadzona na uczelniach państwowych. Poza działaniami edukacyjnymi i badawczymi trzeba wspomnieć o innych, nie mniej ważnych. Uczelnia wyższa to więcej niż dobre programy zajęć, nowoczesna oferta kształcenia, świetna kadra, świadomi swoich potrzeb i kreatywni studenci czy sprawnie zarządzana organizacja. Hope twierdzi, że „Uczelnie, które nie tylko znakomicie kształcą, korzystając z najnowszych osiągnięć nauki, ale również wyposażają swoich absolwentów w umiejętności pozwalające łatwo adaptować się do zmieniających się realiów rynkowych, powszechnie uważa się za dobre [podkr. — M.K.]. Uczelnie znakomite to te, które dbają nie tylko o wysoki poziom merytoryczny programów edukacyjnych, ale także o kreowanie pewnych postaw moralnych, przyzwyczajęń kulturowych, stylów zachowań, systemów wartości”<sup>4</sup>.

Mamy więc kolejny twór urzędniczej nowomowy: „sylwetka absolwenta”. Cóż pisze na jej temat Brocki? Otóż, sytuacja na rynku pracy jest na tyle niestabilna i zła, że absolwenci szkół średnich „konfrontują się z faktem, że nawet najbardziej prestiżowe uczelnie i kierunki nie przekładają się na możliwość łatwego zdobycia pracy. Młodzi ludzie zastanawiają się, jaki jest w ogóle sens studiowania. Skoro są prze-

konywani, że studia wyższe mają wyposażyć ich w praktyczną, aplikowalną wiedzę oraz narzędzia do zastosowania w wielu miejscach (które obiecuje im sformatowana dla nich jak ulotka reklamowa «sylwetka absolwenta»), że studia mają ich przygotować do wejścia na rynek pracy i skutecznego zbudowania na nim własnej pozycji [...]” (s. 10). I tu dochodzimy do sedna problemu: „Ustawodawca przygotowuje zatem kolejne reformy, uparcie próbując zmienić uniwersytet, tak aby przekształcić go ostatecznie w wyższą szkołę zawodową [...]” (s. 10). Autor zauważa, że absolwenci dowolnego kierunku studiów (również antropologii) muszą przystawać do profilu pożądanego na rynku pracy. Sęk w tym, że żaden profil nie wygeneruje na tym rynku miejsc pracy dla świeżo upieczonych magistrów. Nie zmienia tego wypowiedzi pojawiające się w publicznym dyskursie, oskarżające właśnie uniwersytety o „produkowanie” bezrobotnych, ani postulaty szukania pracy absolwentom przez uczelnie. Wydaje się, że droga ścisłej współpracy biznesu ze szkolnictwem wyższym (miałby on mieć wpływ na programy nauczania!), także jest ślepyim zaułkiem<sup>5</sup>. Trzeba pogodzić się z faktem, że polski rynek pracy po prostu nie potrzebuje tak dużej liczby absolwentów studiów wyższych.

Pytanie, czy taka sytuacja jest normalna w średniej wielkości europejskim kraju? Pocięszający jest fakt, że absolwenci antropologii (także jej studenci rozpoczynający pracę w czasie trwania studiów), co wynika i z moich obserwacji, dobrze radzą sobie wszędzie tam, gdzie potrzebne jest nieszablone działanie. Często zaskakują korporacyjnych przełożonych sposobami rozwiązywania problemów, nieujętych w tak zwanym Manualu (w tym przypadku instrukcji dotyczącej wdrażania *Corporate Culture*). Droga zawodowa absolwentów antropologii pokazuje, że sprawdzają się oni wszędzie tam, gdzie potrzebne są umiejętności komunikacyjne w kontaktach z publicznością wewnętrzną i zewnętrzną podmiotu (używając nomenkla-

<sup>4</sup>tions instytucji użyteczności publicznej, Wydawnictwo SPG, Gdańsk 2003, s. 9.

<sup>4</sup>Tamże, s. 89.

<sup>5</sup>Zob. np. Katarzyna Pawłowska-Salińska, *Uczelnie, szukajcie roboty dla absolwentów! List ministrów nauki i pracy*, „Gazeta Wyborcza”, 24 września 2012.

tury PR). Udaje im się z powodzeniem wykorzystywać posiadaną wiedzę dotyczącą kultury i komunikowania do budowania dobrych relacji i kontaktów z drugim człowiekiem oraz radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. Posiadanie tak zwanych miękkich kompetencji i umiejętności prowadzenia badań jakościowych jest dodatkową zaletą absolwentów antropologii.

Uczelnie wyższe pełnią ważne funkcje: kulturotwórczą i wdrażania istotnych dla społeczeństwa wartości. *Universitas* zobowiązuje zarówno kadrę naukową, jak i studentów. Należy zapytać, czy możliwe jest wykorzystanie tych funkcji przez prowadzące działalność rynkową podmioty gospodarcze? Nie mówimy o uczelniach technicznych, tam sprawa ze względu na zakres i przedmiot badań naukowych wydaje się łatwiejsza, ale o kierunkach uniwersyteckich, zaliczanych do humanistycznych. Próby wprowadzenia rynkowej pragmatyki do środowisk akademickich i podporządkowanie działań uczelni gospodarczym korzyściom i zyskom mogą mieć niepożądane, daleko idące skutki. Autor wymienia przykład powołania nowego kierunku w ramach Instytutu Filozofii Uniwersytetu Śląskiego: „Doradztwo filozoficzne i coaching”, nazywając go — otwarcie i w zgodzie z prawdą — patologicznym (s. 15).

Studenci nie powinni być traktowani jak konsumenci usług oferowanych przez uczelnię, sterowani przez odhumanizowane procedury, opierające się na pozornej racjonalności zysków i strat. Sama uczelnia nie może być postrzegana jako podmiot rynkowy mający przynosić wymierne zyski. „Urynkowieniu” podlegają także programy nauczania i pracownicy naukowcy wyższych uczelni. Każdy z nich zna biurokratyczne wymogi systemu: sylabusy, punkty, tabelki, granty, konferencje, publikacje (publikuj lub zgiń) skutkujące nagrodami i karami. Biurokratyczne procedury oceniające aktywność akademicką (cokolwiek te słowa miałyby oznaczać) naukowców, znane w nowomowie jako „ewaluacja”, objawiają się wedle Brockiego „promowaniem ilości kosztem jakości” (s. 11). Cóż z tego, że o pewnych sprawach, jak na przykład o przeszłości, pamięci i kulturze krajów dawnego systemu komunistycznego powinno pisać się w języku narodowym, gdyż tylko on daje możliwość

pełnego opisu i interpretacji? Skoro najwyżej punktowane (punkty, Głupcze!) są publikacje w języku angielskim, należy właśnie w tymże języku uprawiać naukę/publikować.

W taki oto sposób, dzięki zrationalizowanym, rynkowym procedurom, uniwersytet staje się korporacją, fabryczną taśmą produkcyjną, zauważa autor, a wykładowcy monterami.

Długie ramię makdonaldyzacji poprzez swoje aspekty (sprawność, wymierność, przewidywalność, sterowanie) sięgnęło do uczelni. Autor *Makdonaldyzacji społeczeństwa* kreśli pesymistyczną wizję ich przyszłości: „Współczesna szkoła wyższa stała się pod różnymi względami bardzo nieracjonalna. Atmosfera przypominająca fabrykę zniechęca wielu studentów i wykładowców, którzy mogą się w niej czuć jak automaty we władzy biurokracji i komputerów albo bydło w przetwórnicy mięsa. Inaczej mówiąc, nauka w takim miejscu może być przeżyciem dehumanizującym. [...] Postęp techniczny powoduje oczywiście, że kształcenie staje się jeszcze bardziej nieracjonalne. I tak już bardzo niewielki kontakt nauczyciela ze studentem dodatkowo ogranicza na przykład telewizja oświatowa, wewnętrzna sieć telewizyjna, nauczanie na odległość, nauka za pomocą komputera czy maszyny uczące. Pewnie wkrótce nastąpi ostatni etap dehumanizacji kształcenia: nauczyciel z krwi i kości zostanie wyeliminowany”<sup>6</sup>. George Ritzer dostrzega wiele zagrożeń dla uczelni w wyniku postępu nieracjonalnej racjonalizacji i Weberowskiego odczarowania świata: usprawnianie procesu (produkcji), wymierność (oceny wyników nauczania), sterowanie procesem kształcenia poprzez odgórne, sztywne procedury (zapewniające jego optymalizację), zamianę jakości w ilość. To samo mówi Marcin Brocki: „Ilość zastępuje jakość, co przekłada się ostatecznie na bylejakość” (s. 23). Dominująca wydaje się tu potrzeba isticie ekonomicznej optymalizacji działań uczelni wyższych, dająca im wysokie miejsce w rynkowym rankingu. Jak zauważa Ritzer, zasady, wedle których takie miejsce jest przyznawane, są błędne, prowadzące do

<sup>6</sup>George Ritzer, *Makdonaldyzacja społeczeństwa*, tłum. Ludwik Stawowy, Muza, Warszawa 2003, s. 243.

zamiany uczelni w wydajną, zbiurokratyzowaną (a więc racjonalną — prowadzącą bilans zysków i strat) fabrykę. Podobnie pesymistyczną wizję szkolnictwa wyższego w Polsce kreśli Marcin Brocki, przywołując zresztą na stronach swej książki Ritzera. Administrowanie nauką okazuje się dziś nie tylko ważniejsze od niej samej, ale wszechwładne i systemowo kreujące „posłusznych urzędników” nauki, umiejętnie nawiązujących w systemie nagradzającym tego rodzaju kompetencje.

Wymogi globalnego świata sprawiają, że aspekty makdonaldyzacji, jak wymierność i presja racjonalizacji czasu, dotyczą również uczelni: „W szkolnictwie większość cykli wykładów trwa ustaloną liczbę tygodni i ustaloną liczbę godzin w tygodniu. Na ogół niewiele uwagi przykładają się do sprawdzania, czy dla danego przedmiotu dana liczba tygodni bądź godzin jest optymalna. Najważniejsze wydaje się to, ilu studentów ów system może wyprodukować i jakie mają oceny, a nie jakość tego, czego się uczą i co wynoszą ze studiów” (s. 120–121). Niewątpliwie wszystkie zmiany, wymuszone przez presję wszechwładzy rynku, bilansu zysków i strat oraz rachunku ekonomicznego, zagrażają zwłaszcza kierunkom humanistycznym. Marcin Brocki podkreśla, że za zbiurokratyzowaniem i zmakdonaldyzowaniem polskiej nauki (w ślad za światową) idą zmiany w myśleniu i postrzeganiu wiedzy naukowej: „urzędnicze formatowanie struktury nauczania i jej konserwowanie w «ramy kwalifikacji» wytwarza też zupełnie błędne wyobrażenie o wiedzy — rodzi bowiem wrażenie, że wiedza naukowa składa się z dających się dobrze oddzielić cegiełek, które można składać jak klocki. Niestety jest to zupełnie nieprawdziwe przekonanie, niemniej realnie uruchomione i już formatujące wyobrażenie obecnych studentów, dla których na przykład odstępstwo od sylabusu stanie się za jakiś czas zupełnie niezrozumiałe [...]” (s. 28).

Jaka rola w tym zbiurokratyzowanym i zracjonalizowanym świecie przypada antropologom i antropologii? Brocki opowiada o antropologii zaangażowanej w sprawy badanej społeczności, przy czym zaangażowanie to idzie w badaniach interwencyjnych (zorientowanych na zmianę społeczną) tak daleko, że antropolog

staje się po trosze rewolucjonistą, chcącym aktywnie zmieniać świat na lepsze. Projekt „etnografii współpracującej” Luke’a Lassitera, na który się powołuje, zakłada, że antropologia chcąc zajmując znaczące miejsce w debacie publicznej powinna być włączona w projekty zmian społecznych (s. 51). Brocki powiada, że antropologia nie jest rodzajem inżynierii społecznej, a antropolog kimś w rodzaju terapeuty, pracownika socjalnego czy rewolucjonisty. Utopijne rozumienie roli antropologii zaangażowanej (w wysokim stopniu zaangażowanej) w sprawy i problemy badanych społeczności, chcące w praktyczny sposób wykorzystywać wiedzę naukową do naprawiania świata, niebezpiecznie zbliża się do zasad wyrażonych przez Marksa. Filozofom chodziło o to, by zrozumieć świat, nam chodzi o to, by go zmienić, przypomina słowa ojca marksizmu Marcin Brocki — i wypada się z nim zgodzić (s. 56). Przywołuje przykład zaangażowanych antropologów (Nancy Scheper-Hughes, Norman Denzin), którzy postrzegają swą dyscyplinę naukową jako rodzaj walki ze złem tego świata, tłumacząc, że nie można pozostać obojętnym wobec przemocy, głodu, chorób i niesprawiedliwości.

Antropologia może więc, zgodnie z takim rozumieniem swej roli społecznej, angażować się w sprawy władzy, etyki, nierówności społecznych, a co za tym idzie — także polityki. „Interwencja bezpośrednia”, „pomoc”, „rzecznik wspólnoty” to tylko niektóre z opisywanych przez Brockiego ról antropologa, postulowanych w ramach wizji antropologii zaangażowanej. Według niego: „traktowanie antropologii jako politycznie zaangażowanej praktyki może się z czasem negatywnie odbić na kształceniu antropologów i ich przyszłej praktyce” (s. 82). Niestety, dopowiada autor, opieranie się przy dokonywaniu interpretacji zjawisk kulturowych na gotowych wzorcach, podpowiadanych przez ideologię, oraz namawianie studentów, by podążyli podobną drogą, gdy brak im jeszcze kompetencji naukowych, pozbawia antropologię profesjonalizmu. Zbliżenie nauki i polityki oraz zastąpienie rzetelnej analizy badawczej przez gotowe schematy interpretacyjne bywa groźne. Wystarczy, jak czyni to Marcin Brocki, przywołać przykład stosunku do nauki systemów tota-

litarnych, czyniących z niej jedną z form legitymizacji systemu.

Miejsce antropologii jest w salach wykładowych, a nie na rządowych mityngach, spotkaniach z politykami, którzy i tak niewiele (o ile w ogóle) cokolwiek z dyskursu antropologicznego rozumieją. Autor przywołuje wypowiedź Jamesa Fergusona na jednej z konferencji o przyczynach porażek programów pomocowych w południowej Afryce. Na pytanie, dlaczego nie próbował uruchomić debaty publicznej i podzielić się w ten sposób posiadaną wiedzą, amerykański antropolog odpowiedział, że jego partnerami w dyskursie są studenci, a nie jakikolwiek rząd. Brocki podsumowuje rozważania na temat roli antropologii w sporze publicznym, polityce i medialnych dyskusjach: „Jeśli ktoś chce zrozumieć procesy społeczne i kulturowe, powinien wiedzieć, że właściwym adresem, pod którym może znaleźć wyjaśnienia, jest wiedza wytwarzana na uniwersytetach — oczywiście jest to podejście idealistyczne, jakby wbrew istniejącej [...] tendencji, ale w ten sposób Ferguson mówi o zachowaniu autorytetu, właściwej hierarchii wiedzy i porządku jej przepływu” (s. 113).

Czy zatem antropolog może przywdziewać szaty eksperta i powinien występować w takiej roli? Marcin Brocki pisze, że antropologia posiada niewielki kapitał symboliczny, antropolodzy wciąż spierają się co do granic swej dyscypliny, jej naukowego warsztatu i sposobów interpretacji rzeczywistości kulturowej. Pesymistyczna wizja antropologii jako „marginesowej nauki bez granic” łączy się z niepewnością jej definicji, celów i metodologii, a także kluczowym pytaniem o istotę tak zwanego terenu. Autor zauważa, że nie ma zgody co do tego, czym jest materiał naukowy w etnologii. W dodatku stosowana metodologia ma wiele (może zbyt wiele) wspólnego z socjologiczną, a oba typy refleksji nad rzeczywistością łączą niemożliwe do rozerwania i bardzo złożone więzy (s. 60–64). Nie zgadzam się ze stwierdzeniem Marcina Brockiego, że podejmowanie przez antropologów tematów i przyjmowanie perspektywy innych humanistycznych dyscyplin (w tym socjologicznej) dowodzi poważnych problemów z tożsamością dyscypliny. Wielu antropologów

udanie łączy swą praktykę naukową z zainteresowaniami literaturoznawczymi, filmowymi czy socjologicznymi. Nie można zarzucić im braku kompetencji z dziedziny „obcych”, choć nieco „pokrewnych” antropologii dyscyplin, na przykład choćby z tego powodu, że są absolwentami dwóch kierunków czy że ich zainteresowania naukowe wykraczają poza obszar antropologii są poparte rzetelną, gromadzoną przez wiele lat wiedzą. Antropolog (przynajmniej ten poważnie traktujący swą dziedzinę nauki) nie musi i nie powinien udawać eksperta od spraw ekonomicznych, społecznych, psychologicznych czy politycznych. Po prostu dlatego, że go nie zastąpi. Niekiedy obserwując publiczne wystąpienia znanych socjologów w mediach, mam wrażenie, że słowa Brockiego równie dobrze mogłyby się odnosić do nich, jak i kogokolwiek innego, kto próbuje wyjaśniać zjawiska i wypowiadać się na tematy leżące poza możliwościami interpretacyjnymi swej dziedziny nauki.

I jeszcze jedna refleksja po lekturze inspirowanej książki Marcina Brockiego: antropolog próbujący włączyć się w debatę publiczną oraz ją moderować nigdy nie będzie w stanie zajmując miejsca socjologa, ekonomisty czy politologa. Po prostu media, z całym bagażem swego sposobu interpretacji i przekazywania informacji o rzeczywistości, nie są odpowiednim miejscem dla tego rodzaju poważnej dyskusji. Zgoda na splotanie, banalizowanie treści przekazu, dostosowywanie dyskursu i debaty do zasad infotainment nie służy antropologii, tym bardziej tej „publicznej”<sup>7</sup>. Brocki kończy swe rozważania trafnym wnioskiem, że problem z rolą i miejscem antropologii publicznej w zbiorowej debacie jest „kulturowy”, nie zaś „komunikacyjny”: „Istotne jest przy tym dostrzeżenie, że proces budowania autorytetu antropologii jako składowej debaty publicznej zaczyna się poza antropologią — w mniejszym stopniu zależy od tego,

<sup>7</sup>O grzechach głównych mass mediów (pol-skich), w tym wymienianych przez autora *Antropologii społecznej i kulturowej...*, pisze Bohdan Jałowicki: *Czy media zagrażają demokracji?*, w: Jerzy Chłopecki, Rafał Polak (red.), *Media lokalne a demokracja lokalna*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania, Rzeszów 2005, s. 13–33.

jak się porozumiewamy z publicznością pozaakademicką, niż od tego, na ile wiedza naukowa jest wartością, na ile ta publiczność ufa tej wartości oraz gdzie ją lokuje we własnych systemach wartości” (s. 182). Dostosowywanie się do zasad komunikacji masowej, języka mediów, nie pomoże ani antropologii, ani żadnej innej dziedzinie nauki. Dołączmy do tego omówione w pierwszej części książki kwestie systemu instytucjonalnego, biurokratycznie zarządzającego nauką, który powoduje wybór aksjologii stawiającej naukę w roli służebnej, usługowej wobec społeczeństwa. W efekcie, jak konkluduje Brocki, marginalizacja i deprecjacja wiedzy naukowej (a także środowiska naukowego) będą postępowały, a „wtedy to ostatecznie trzeba będzie uznać tytuł najnowszej książki Pawła Ku-

ligowskiego za prorocstwo — a książka nosi tytuł *Przyszłość jest katastrofą* (s. 182). Podobnie jak Marcin Brocki, obawiam się, że wkrótce może do niej dojść.

Podtytuł omawianej książki — *Problemy, dylematy, kontrowersje* — wydaje się bardzo trafny. Zawarte w pracy refleksje autora na temat antropologii zaangażowanej wywołują w środowisku antropologów (nie tylko zaangażowanych) spór o miejsce i rolę antropologii we współczesnym świecie. Są także okazją do dyskusji problemowej nad trudnymi wyborami, przed jakimi stoi zarówno ta dyscyplina naukowa, jak i cała humanistyka, zwłaszcza w obliczu zagrażającej jej makdonaldyzacji oraz opresyjności instytucjonalnego, zbiurokratyzowanego systemu zarządzania nauką w Polsce.